

GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK WYCHODZTWA

51-52 (760 761)

BOŻE NARODZENIE 22-29 grudnia 1974

ROK XVI



MOJA KOŁĘDA

O przyjdźże, Jezu malutki,
do naszych domów, do wioski
i w radość zamień nam smutki,
i uśmiech zostaw swój Boski.

I spraw, by każdy dzień życia
był nam przedsiönkiem nieba,
by biednym nie brakło okrycia,
a głódnym do życia chleba.

O przyjdźże, Jezu nasz drogi,
do kaźdej wioski i chatki,
usuń z dróg ciernie i głógi,
cnot zasiej obficie kwiatki.

O przyjdźże, Boska Dziecino,
w tych kołédników gronie,
u których wieczorną godziną
gwiazdka nadziei płonie.

Nad kaźdą dziecka kołýską
zaświeć dziś gwiazdę pokoju,
błógóstaw pracę tu wszystkim,
chron od zmęczenia, znoju.

Oddal atomy, wodory,
co swiatu grożą w złej dłóni,
oddal wsze klęski, pomory,
niech pieśń radości wciąż dzwoni.

Błógóstaw wciąż naszym trudom
na polach, w halach i biurze
by ziemia szczęścia swym ludzióm
i nieba była podnóżem.

WYMIANA **Józef Kapuściński.**
BIBLIOTEKA POLSKA POSK
LONDYN

Światło w oknie

Nie przestaje nas „prześadować” myśl o dziwnym Człowieku, który przed trzydziestu laty zapalił świecę w oknie swego domu, jako drogowskaz dla szukających go. Sam zgasł przed kilku laty. Zaś płomień zapalony jego ręką, a raczej od jego serca jest dziś widoczny w każdym domu.

Siądźmy pod świąteczną choinką i wsłuchajmy się w jego wspomnienia..

Było to w roku 1934, gdy po 10 latach służby watykańskiej, jako nuncjusz, ks. Roncalli — ho tak się nazywał — opuszczał na zawsze Bułgarię.

„Bracia moi, pamiętajcie o mnie, który, w przeciwieństwie do wiatrów i odpływów morza, pozostanę zawsze wiernym przyjacielem Bułgarii.

We wszystkich bułgarskich domach ustawia się w wigilię Bożego Narodzenia na oknie zapaloną świecę, która symbolizuje wskazanie drogi św. Józefowi i Matce Boskiej, szukającym w tę świętą noc schronienia dla Dzieciątka Jezus. Oznacza to, że tu wewnątrz... oczekuje ich rodzina.

Gdziekolwiek by to było, choć by na krańcu świata, jeżeli bezdomny Bułgar przejdzie pod moim oknem, zobaczy on palącą się świecę, a gdy zapuka do moich drzwi, zostaną mu one otwarte — bez względu na to, czy jest on katolikiem, czy prawosławnym. Wystarczy, że jest bratem z Bułgarii: to miano wystarczy, aby wszedł i znalazł w moim domu najserdeczniejszą gościnę...”

Gdy kard. Suenens 28 października 1963 r. z okazji 5-tej rocznicy wyboru Jana XXIII przytoczył powyższe wspomnienie w Auli Soborowej — w wilgotnych oczach Ojców Soboru mogłeś dokładnie odczytać odbłask Janowej „świecy”.

„To zaproszenie — dodał kardynał już od siebie — przekroczyło granice Bułgarii. Jan XXIII skierował je do wszystkich ludzi dobrej woli ponad wszelkimi granicami”. Ojcowie Soboru spojrzeli po sobie Biali, czarni, żółci — spoza Tatr, Alp, Himalajów, spoza rzek, mór, oceanów, spoza granic, barier, podziałów. Dopiero teraz uswiadomili sobie za sprawą Ducha Św., że dla nich — okno papieża Jana zapłonęło po raz pierwszy w owym pamiętnym okresie Bożego Narodzenia 1958-59, kiedy z wzyń Watykanu ozwał się po raz pierwszy zew soborowy.

Od tego czasu światło nie gasło, owszem potęgowało się, wołało, zapraszało — nękało swa natarczywością, jak ongiś gwiazda Trzech Mędrców.

Tym jednak razem światło skierowało się nie tylko na Wschód, lecz na wszystkie strony świata. Ujrzano je w Gwinei, w Rodezji, w Tanganice, w Filadelfii i w Kongo. Dostrzeżono je w Chinach, Japonii i na wyspach Oceanii. Co najdziwniejsze — dojrzano zapraszający gest płomienia palącego się w oknie domu „papieża Dohroci” — nie tylko tam, gdzie świeci wieczna lampa, lecz również u Sąsiadów, u Braci, którzy chwilowo znaleźli się poza ojcowskim Domem. Z ich pierwszej, spontanicznej reakcji na dojrzane światło można śmiało wnioskować, że wrócą pod strzechę ojcowską, wrócą na pewno, skoro tylko przekonają się, że płomień, który ich zaprosił, bije naprawdę z ojcowskiego, miłującego ich serca. Tak zresztą oświadczył niedawno pewien konwertyta: „Największa prawda jest tam, gdzie jest największa miłość”.

Prymas Belgii — charakteryzując w dalszym ciągu swego przemówienia w Auli Soborowej sylwetkę „Papieża Dohroci” — miał usta i oczy tak bardzo zalane światłem Jego życia i przykładu, na który sam tak niedawno patrzył, że i ze słów jego bił blask:

„Za przykładem Chrystusa, o którym św. Jan mówił, że Jego życie było światłością, zmarły papież oświecił ludzi przez sam przebieg swojego życia. Światło i ciepło były w nim nierozdzielne. Był niby słońce, które równocześnie oświeca i ogrzewa ziemię. Dobroć spontaniczna, bezpośrednia, zawsze żywa w Janie XXIII podobna była do promienia słońca, który rozprasza mgłę, topi lód, przenika nas, zanim się spostrzeżemy. Był niby promień słońca, który budzi samym swym widokiem optymizmu, który przynosi radość przez fakt niespodziewanego przybycia, który zręcznie wymija wszystkie przeszkody.

W ten właśnie sposób Jan XXIII ukazał się światu: nie jako słońce tropikalne, które oślepia żywością swego światła, ale jako pokorne, znane nam dobrze światło codzienne, które jest tutaj, zawsze na swoim miejscu, zawsze wierne samemu sobie, choć czasem zasłonięte przez chmury, które zaledwie dostrzegają się — tak jest się pewnym jego obecności...”

Odchodząc od nas — kończył Mówca — pozostawił On dusze bliższe Bogu i ziemię łatwiejszą do zamieszkania przez ludzi”.



Każdy dom ma okna. Za oknem jest światło. Światło wskazuje drogę do chleba. Nie ma domu bez chleba. Głód zaspokaja się tylko przy sercu ojca i matki.

Grota Betlejemka stała się domem z chwilą, gdy złożono w niej Chleb. „Chleb, który zstąpił z nieba...”. Powie o nim później sam Chrystus: „Albowiem Ciało moje prawdziwie jest po karmem, a Krew moja prawdziwie jest napojem...”

W kołysce złożono chleb. Każdemu, kto patrzy na chleb, jaśnieje oblicze. Dlatego mówi się, że człowiek śmieje się do chleba. Bo chleb składa się z ziaren, na które miesiącami padało światło słoneczne. Słońce działało w „wypieku chleba.

Zanim złożono Chleb Bożego Dzieciątka w kołysce — Ojciec Niebieski długo wpatrywał się w Swego Syna, przelewając Weń Słońce swego Bóstwa i cały żar swej wszechmocnej Miłości... Potem wraz z Duchem świętym pochylał się nad Dziewicą z Nazaret i złożył Go w kołysce Jej Niepokalanego Serca. Zaś Matka z kolei „wyłożyła” Chleb, któremu nadała ludzkie kształty, w skądinąd grocie, by wszyscy — przede wszystkim zaś biedni — mogli się najeść do syta.

W samej rzeczy — pierwsi dostrzegli światło w oknie Domu Chleba ubodzy pasterze z podbetlejemskich pastwisk i na kłęczkach, w prostocie swych serc, oczyma utkwionymi w Żłóbek „spożyli” swą Pierwszą Komunię. A potem przyszli inni.

Pochylili się nad kołyską Chleba robotnicy, ludzie prości i wykształceni, świeccy i duchowni, królowie i papieże. Wśród tych ostatnich znalazł się również papież Jan — Pasterz Kościoła. Ilekroć kłęczał przed ołtarzem — wydawał się być nadal prostym wieśniakiem z Sotto il Monte, który już został odwołany od swej trzody do Betlejem, do Domu Chleba — i oto teraz jest pochylony nad Żłóbkiem tego światła...”, do której chciałby zaprowadzić wszystkich, wszystkich... „Ut unum sint — aby byli jedno”, szeptały jeszcze jego umierające wargi.

J.G.

Ewangelia

4 Niedziela Adwentu (Mt 1, 18-20) (Rok A) — 22 grudnia 1974

Z narodzeniem Jezusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, z Józefem, wprawdzie zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego. Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem prawym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał opuścić Ją potajemnie. Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: „Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło. Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów”. A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka: Oto Dziewica poczne i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy „Bóg za nami”. Zbudziwszy się ze snu, Józef uczynił tak, jak mu polecił anioł Pański: wziął swoją Małżonkę do siebie.

Narodzenie Pańskie (Łk 2, 15-20)

Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili nawzajem do siebie: „Pójdźmy do Betlejem i zobaczymy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił”. Udali się też z pośpiechem i znaleźli Maryję, Józefa i Niencówkę, leżące w żłobie. Gdy Je ujrzeni, opowiedzieli o tym, co im zostało objawione o tym Dzieciątku. A wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali. Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu. A pasterze wrócili, wielbiąc i wysławiając Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli, jak im to było powiedziane.

Niedziela Świętej Rodziny (Mt 2, 13-15, 19-23) — 29 grudnia

Gdy Mędrcy odjechali, oto anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł: „Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; pozostan tam, aż ci powiem; bo Heród będzie szukał Dziecięcia, aby Je zgładzić”. On wstał, wziął w nocy Dziecię i Jego Matkę i udał się do Egiptu; tam pozostał aż do śmierci Heroda. Tak miało się spełnić słowo, które Pan powiedział przez proroka: „Z Egiptu wezwałem Syna mego”. A gdy Heród umarł, oto Józefowi w Egipcie ukazał się anioł Pański we śnie i rzekł: „Weź Dziecię i Jego Matkę i idź do ziemi Izraela, bo już umarli ci, którzy czyhali na życie Dziecięcia”. On więc wstał, wziął Dziecię i Jego Matkę i wrócili do ziemi Izraela. Lecz gdy posłyszał, że w Judei panuje Archelaus w miejsce ojca swego, Heroda, bał się tam iść. Otrzymałszy zaś we śnie nakaz udał się w stronę Galilei. Przybył do miasta, zwanego Nazaret, i tam osiadł. Tak miało się spełnić słowo Proroków: „Nazwany będzie Nazarejczykiem”.

Rozważanie Ewangeliczne

B E Z D O M N Y

„Przyszedł do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli” (J 1, 11). W dziejach świata była taka chwila, jedyna i niepowtarzalna chwila, w której Stwórca przychodzi do swego stworzenia. Wszchemogący i odwieczny Bóg przychodzi do ludzi jako człowiek. A człowiek Go nie przyjmuje.

W stajni betlejemskiej po raz pierwszy Matka i Syn spoglądają na siebie ludzkimi oczyma. Człowiek i Bóg „spo-

tykają się przez dotknięcie i zewnętrzny ludzki gest. Po raz pierwszy w tym spojrzeniu i geście wypowiada się obustronna miłość — i ta, którą Bóg ukochał ludzi, i ta, którą człowiek ukochał Boga. Te dwie postacie miłości tworzą krąg miłości rodzinnej. Bóg objawia swą miłość do człowieka, a miłość ta jest równocześnie miłością dziecka do matki. Człowiek w osobie Najświętszej Maryi Panny okazuje miłość Bogu, któ-

ry równocześnie jest jej dzieckiem” (Ks. Jan Pietraszko).

Przyjęcie ludzkiej natury przez Boga to swego rodzaju konsekracja człowieczeństwa. Jezus Chrystus jest jednym z nas, jest naszym bratem „wedle ciała i krwi”. Przez Niego mamy wspólne Ojca w niebie. Bóg powierzając się Najświętszej Maryi Pannie, swej Matce, człowiekowi najpiękniejszemu i najlepszemu, zdaje się mówić do niej: „Bądź mi Matką i weź za mnie odpowiedzialność...”

Jestem twoim dzieckiem i będę potrzebował twojej pomocy, opieki jak każde dziecko, Weź więc jak matka odpowiedzialność za te lata, za moją dziecięcą nieporadność i słabość.

Zanieś mnie ludziom i powiedz im: aby tak jak ty mnie bierzesz za syna i oni mnie wzięli za brata, by i oni również za mnie wzięli odpowiedzialność”

Wstrząsająca rzeczywistość! Słusznie pisał Bierdajew: **Bóg jest ludzki, natomiast człowiek może być nieudźki.**

Niewdzięczni ludzie... Nie poznali swego Pana. Nie przyjęli Go... Nie uczono Mu nawet odrobiny miejsca w najuboższym domu. „Nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2, 7).

Matka nie ma własnego domu, w którym by urodziła swego Pierworodnego. Wydarzenie to „nabiera charakteru symbolu: urodzi Go nie dla siebie i nie dla własnego domu... urodzi Go dla świata, dla wszystkich ludzi, prawie pod gołym niebem”

Przed narodzeniem Dziecięcia Matka szuka miejsca dla Niego i siebie. Szuka pokornie, z cierpliwym uporem. Nie znajduje żadnego miejsca wśród ludzi. folesne i smutne przeżycie dla Matki jak i dla Dzieciątka, które przychodzi do braci. „Gdyby miłość Boga była podobna do miłości naszej, Bóg przychodząc mógłby w takich okolicznościach powiedzieć:

zrobiłem dla ciebie tak wiele, ale jeżeli ty nie chcesz mi udzielić najmniejszego nawet kąta w swoim domu, nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić tam, skąd przyszedłem”.

Gdyby miłość bezdomnego Boga człowieka była jak miłość nasza... Ale miłość Jego jest inna, jest ponad wszystko dobro i ponad wszystko zło. Bóg pozostaje z nami na tym świecie, wśród nas. Bezdomność Boga człowieka była głębokim przeżyciem dla Matki Dziewicy (Ciąg dalszy na str. 6)



Samotna i zapomniana

Za parę dni wigilia Bożego Narodzenia, święta pokoju, radości... Otrzymałam list z Polski, wołanie o ludzką serdeczność. Autorka listu w każdą niedzielę uczestniczy przez radio w Mszy św. odprawianej w Polskim Kościele w Paryżu. W którąś niedzielę usłyszała, że przy tym kościele księża organizują wigilijne spotkanie dla osób samotnych. Sercem targnęła tęsknota, odczuła nieprzewyciężoną potrzebę podzielenia się z kimś swoim uczuciem. Napisała list. „Jestem w starszym wieku. Mam 73 lata. Serce moje przeimuje ból, gdy na każdą wigilię Bożego Narodzenia zapraszacie, Księża, samotnych i starszych ludzi do stołu. U nas... tego zwyczaju nie ma, a jest tu dużo ludzi osamotnionych i starszych. Ja także jestem osamotniona. Miałam kiedyś chora, która się opiekowała przez 28 lat. Już dwa lata jak nie żyje. Miałam potem sąsiadkę, która przez dwie wigilie zapraszała mnie do siebie. Zmarła w tym roku. Ciężko mi więc i smutno, gdy sama w czterech ścianach się znajduję. Serce z żalu chce mi pęknąć, gdy w tym roku wspomnę sobie waszą tam wigilię. Dodajcie mi otuchy, bym nie popadła w rozpacz, gdyż rozmaite myśli przychodzą do głowy. Jak bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła, skorzystać z takiej wspólnej wigilii. Nie chodzi mi o to aby za darmo komuś wiać, ale wspólna wigilia, to musi być coś wspólnego i uroczystego... Kończę te parę słów ze łzami w oczach i proszę Wielebnych Księży o pociechę w mym smutku...”

Czy mogłem pominąć milczeniem to wołanie? Napisałem w tej sprawie do miejscowego księdza proboszcza. Może... może już dzisiaj nie będzie tak bardzo samotna...

Pomijam nazwisko tej pani, adres, ale jeśli mimo wszystkiego przytoczyłem ten list, to tylko dlatego, abyście go odczuli jako wołanie, jako skargę wielu, którzy już dzisiaj lękają się samotności jutrzejszego wieczoru.

W jednym ze swoich utworów Ionesco pisze, że niedługo ludzie przemienią się w... nosorożców! Będą mieli — jak oni — oczy, które nie widzą w dal i skórę, przez którą nic nie przeniknie i nie usłyszy nikt bicia serca... Jeżeli przytoczony wyżej list nie obudzi w naszym sercu żadnego echa, to może i myśmy się już stali nosorożcami?! Nie wierze

jednak, by z nami było aż tak źle. Barczej noc wigilijna poszerzy nasze serca i wyostrzy wzrok!

I wtedy zobaczymy, że może pierwszą ofiarą samotności, najbardziej opuszczone są nasze własne dzieci! Dzieci, które w codziennej gonitwie rano wyrwyamy ze snu, by zanieść do żłóbka, a wieczorem już śpiące przynosimy do domu. Niech by one wreszcie miały DOM — niekoniecznie bogatszy w dywany i najnowszy aparat telewizyjny — lecz gdzie słowo ojciec i matka — oznaczaloby: MIŁOŚĆ.

Tak bym pragnął, aby przez ten list nasza samotna słuchaczka stała się ambasadorem wszystkich staruszków, wszystkich samotnych, którzy gotowi są szukać słowa otuchy nawet w dalekiej sekcji radiowej. byle tylko nie krępować — najbliższych!

Może ten list przypomni nam szpitala. Tyłu tam chorych i zapomnianych! Czy jutrzejszy wieczór będzie dla nich przypomnieniem, że Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek człowiekowi był bratem?

Wielu z was przypomni sobie minione wigilie w okopach, może w obozie... A ilu dzisiaj jeszcze za drutami, w więzieniach, w obozach pracy na Syberii lub w Kazachstanie?!

Niech wieczór wigilijny przypomni nam tych wszystkich, którym grozi nasza obojętność i zapomnienie!...

Ks. Witold Kiedrowski.

Rabin Bunam mówił:

„Napisano w Księdze Przysłów: „Jak w wodzie twarz odpowiada twarzy, tak serce człowieka drugiemu człowiekowi”. Dlaczego napisano „w wodzie”, a nie „w zwierciadle”? Bo w wodzie można zobaczyć swoje odbicie tylko wtedy, kiedy człowiek pochyli się nisko w jej stronę — serce człowieka musi także pochylić się ku sercu jego towarzysza.

Wtedy dostrzeże w nim siebie”.

Wielki warszawski szpital. Oddział żeński. Codziennie rano przed ósmą godziną kolejka do telefonu. Telefonują matki, które mogą opuścić choć na chwilę szpitalne łóżko. Pytają jak się ich dzieci czują, jak się ubrały, każą coś cieplejszego założyć, troszczą się o ich apetyty, by mleko wypić do końca, by nie zapomnieć śniadania do szkoły.

Ponad domami i ulicami, poprzez hałas i zamęt milionowego miasta płyną słowa i myśli pełne miłości.

Świat staje się lepszy.

Niezliczone, zaiste, są serca, dla których Boże Narodzenie jest czasem wesela i radości. Ileż to rodzin, których członkowie rozproszeni są po całym świecie w twardej walce o byt, zbiera się wtedy, przeżywając chwile radości i pogody, będące źródłem czystej i niezamąconej rozkoszy, tak dalekiej od trosk tego świata, że zarówno najbardziej cywilizowane, jak i najdziksze narody zaliczają Boże Narodzenie do chwil najszczęśliwszych, niosących błogosławieństwo i ukojenie” (Charles Dickens, 1812-1870)

**DROGIM
RODAKOM
WSPÓLPRACOWNIKOM
I CZYTELNIKOM
ŻYCZYMY
Z OKAZJI
ŚWIAT
BOŻEGO
NARODZENIA
I NOWEGO
ROKU
WSZELKIEJ
POMYŚLNOŚCI**



NASZ DOM

Potem przychodziła matka Anetki, która już z przedpokoju wołała:

— Jak się czuje moje chore biedactwo? Czy wszyscy byli dla niego dobrzy?

Anetka z miejsca zaczynała marudzić i skarżyć się. Pan Leon mrugał na mnie jednym okiem, mruzczał: — Oj, te kobiety! — a potem wołał na Joasię, aby prędzej podawała kolację.

Po kolacji czasem słuchaliśmy wspólnie radia, ale najczęściej państwo Bylscy poziewając mówili, że wstali bardzo wcześnie i już „z nóg lecą”, więc szli spać, a my z Anetką zostawałyśmy same. Joasia zniknęła w kuchni albo szła gdzieś w sąsiedztwo, więc kończyłyśmy lekcje i kładłyśmy się do łóżek. Anetka długo nie mogła zasnąć, marudziła i żądała, abym jej czytała książkę. Rano bywałam tak niewyspana, że Joasia z trudem mogła mnie obudzić.

DZIWNA PRZYGODA

Był szary dzień listopadowy. Pani Bylska poszła do pracy dopiero po południu i Anetka przez czas jej obecności rozkaprysiła się do tego stopnia, że trudno z nią było wytrzymać. Nazwała mnie darniozadem i wyzyskiwaczką i rzuciła na mnie jedną ze swych licznych flaszeczek z lekarstwami. Rozcierając guz na czole, uciekłam na korytarz i rozplakałam się.

„Chyba nie wytrzymam dłużej — myślałam. — Trzeba napisać do panny Zofii, aby mnie stąd zabrała”.

Lekki szelest spadających papierów w skrzynce do listów zwrócił moją uwagę. Szybko otworzyłam drzwiczki. W szparze skrzynki widniało dwoje czarnych oczu i kawałek nosa. Poznałam chłopca spotkanego na skwerze.

— Napoleon! — zawołałam radośnie. — Cześć! Jak się masz?

— Mam się — odpowiedział. — Ale ty, zdaje się, masz się nie najlepiej. Beczysz? Dostałaś lanie od mamy?

— Nie mam matki — odpowiedziałam rozżalając się na nowo.

— Ja też nie mam i nie płaczę.

— Ale ja nie mam ani ojca, ani matki i jestem sama w Warszawie dla towarzystwa córeczki tych państwa, co tu mieszkają. Ona była chora i dlatego jest nieznośna, skarży na mnie swojej matce i dokucza mi, ile wlezie.

— To czemu się, głupia, dasz? Wyglądasz na morową dziewczynę.

— Mówię ci przecież, że ona była chora, przez dwa lata leżała w łóżeczku gipsowym. Trzeba się z nią obchodzić jak z jankiem.

— Teretere. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Była chora, a teraz jest rozpieszczona i chce wszystkim skakać po głowie. Nie daj się i już. Jak ona na ciebie krzyknie, to ty na nią huknij. To jej dobrze zrobi, zobaczysz.

Czarne oczy zniknęły ze szpary w skrzynce do listów, usłyszałam na schodach tupot zbiegających nóg.

— Jagoda! Jagoda. — wołała Anetka.

Wróciłam do pokoju niepewna, jak postępować dalej, ale przypadek przyszedł mi z pomocą.

— Dlaczego tak długo siedziałaś na korytarzu? — pytała Anetka, a na jej twarzyczce wyraźnie malował się niepokój. — Tam jest twoja walizka, czy przypadkiem nie chciałaś uciekać?

— Zgadłaś — odpowiedziałam śmiało, bo przecież rzeczywiście miałam zamiar pisać do panny Zofii, aby mnie stąd zabrała.

— Nie pozwól ci wyjechać. Wybij to sobie z głowy! — krzyknęła.

— Właśnie że wyjadę, i to niedługo! — krzyknęłam równieź. — Chyba... chyba że przyrzekniesz mi, że już nigdy nie będziesz mnie przezywać i rzucać we mnie flaszeczkami.

— Nikt nie może mi nakazać, abym nie robiła tego, na co mam ochotę, bo jestem chora.

— Wcale nie jesteś chora, tylko nieznośna. Ani mi się sni dłużej znosić twoje kaprysy, wolę wyjechać. — Zdecydowanie ruszyłam do drzwi.

— Powiem mamie! — krzyknęła za mną.

— A powiedz, co mi zależy, niedługo i tak mnie tu nie będzie.

Przeszłam do sypialnego pokoju, usiadłam przy oknie i patrzyłam na ulicę. Po przeciwległej stronie stał rząd kamienic, spoza nich wyglądały dachy i kominy innych domów — i ten cały las kamienny wydał mi się więzieniem.

„A jednak wytrzymam, muszę tu wytrzymać do lipca, do wakacji” — powtarzałam uparcie.

Tego samego wieczoru na żądanie Anetki, żeby jej czytać w łóżku, odpowiedziałam hardo:

— Nic z tego. Ty jutro możesz spać do południa, a ja wstaję w ósmą. Muszę być wyspana, bo inaczej boli mnie głowa i w szkole nie mogę uważać.

Zapanowała cisza. Potem ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Anetka zapytała cicho i nieśmiało:

— Czy to miejsce od uderzenia flaszeczką bardzo cię boli?

— Tak sobie.

W chwilę później usłyszałam, że Anetka gramoli się z łóżka. Usiadła przy mnie, przytuliła się i objęła mnie ramionami.

— Bardzo mi przykro... Tak ci dokuczam, nie gniewaj się, Jagódko, nie wyjeżdżaj ode mnie! Pomyśl, jaka będę samotna! Rodziców nie ma cały dzień w domu. Joasia nie ma czasu. Ciągle czekam na ciebie, godziny tak wolno mi lecą...

— Dobrze, jeżeli nie będziesz mi dokuczać, zostanę do lipca. Potem muszę wracać do domu.

— E, do lipca daleko. Nie warto martwić się na zapas. A zresztą, jak ci będzie u nas dobrze, zostaniesz na zawsze. Przecież nie masz rodziców, jakiś tam dom sierot bez ciebie się obejdzie.

— E, co ty tam wiesz — odburknęłam, ale nie chciałam się już kłócić. Ucałowałam Anetkę i usnęłyśmy prędzej niż zwykle.

Kiedy nazajutrz biegłam do szkoły, przed kamienicą czekał Napoleon. Wydał mi się jakiś markotny. Przywitaliśmy się jak starzy przyjaciele.

— No i co robi ta twoja chora? — spytał.

— Wczoraj przeprosiła mnie i jest znacznie lepsza.

(Ciąg dalszy nastąpi)

(Ciąg dalszy ze str. 3)

cy jak i dla Jej Syna. Ona jedyna rozumiała jej doniosłość i rozmiary. Nikt na tym świecie nie może się przechwalać, że Jezus narodził się w jego domu.



Dom, jego cztery ściany, oddzielają od świata, zabezpieczają od zewnątrz. Człowiek jest u siebie, czuje się bezpieczny. Ale te cztery ściany również zamykają człowiekowi dojście do świata. A Chrystus nie chciał być oddzielony od ludzi, od świata. „Nie chciał, aby ktoś w ten sposób zawłaszczal Go dla siebie. Dlatego narodził się bezdomnym, w jaskini pasterskiej, z której drogi rozchodziły się na wszystkie strony świata. Nie było drzwi, które można by zatrzaskać przed ludzką ciekawością: każdy przechodzący mógł wejść i zatrzymać się popatrzeć, zapytać, pomyśleć”.

Bezdomny Bóg człowiek, jest dostępny dla wszystkich, dla każdego człowieka. Ubogie jest Jego miejsce urodzenia, żeby wszelkie ubóstwo i niedza mogła tam wejść i poczuć się u siebie; żeby pomiędzy Nim a ludźmi nie było żadnych barier, żadnych przeszkód. Bezdomność i ubóstwo Chrystusa było najszerzym otwarciem drzwi dla wszystkich ludzi, wszelkich ras i wszystkich klas.

Bóg człowiek nie wstydzi się swojej bezdomności. Przeciwnie, przyznaje się do niej. Pytającym o Jego dom: „Narcyzeliu, gdzie mieszkasz?” odpowie:

„Chodźcie i zobacźcie (J 1, 38-39). Lisy mają nory i ptaki powietrzne — gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć” (Mt 8, 20). Prawie jak by powiedział: „Nigdzie nie mieszkać — albo mieszkać wszędzie. To też pewnego dnia powie do celnika: „Zacheuszu, dziś muszę zatrzymać się w twoim domu” (Łk 19, 5). Domi przygodnie spotkanego człowieka stał się Jego domem.”

Bezdomny Jezus wprasza się do każdego człowieka, nawet tego w naszych oczach najgorszego: „Dziś muszę zatrzymać się w twoim domu”

Cicha, święta Noc betlejemka uczy pokolenia i wieki prostoty pasterzy. W prostocie, jak pasterze, powiedźmy dziś Chrystusowi:

„Poróżwaź przyszedłś do nas, aby nas zbawić, ponieważ jesteś bez domu, otwieramy Ci nasze domy, ofiarujemy nasze serca, ofiarujemy Ci miłość.

Chcemy Cię zabrać ze sobą!”

Roman Duda OMI.

OTWARCIE ROKU ŚWIĘTEGO 1975 W WIGILII BOŻEGO NARODZENIA

W Wigilię Bożego Narodzenia papież Paweł VI dokona uroczystego otwarcia Roku Świętego w bazylice św. Piotra. Ojciec św. dokona symbolicznego otwarcia drzwi w bazylice watykańskiej przed północą, a następnie odprawi uroczystą Pasterkę.

W Watykanie podano do wiadomości, że symbolicznego otwarcia drzwi w trzech innych rzymskich bazylikach tj. w bazylice św. Jana na Lateranie, w bazylice św. Pawła za Murami i w bazylice Santa Maria Maggiore — dokonają legaci papiescy w dniu święta Bożego Narodzenia.

W przemówieniu wygłoszonym 9 maja 1973 r. Ojciec św. powiedział: „W roku 1500... dodano zwyczaj otwierania Drzwi Świętych w bazylikach, które należało odwiedzić — i to nie tylko w celu ułatwienia dostępu penitentom, ale także aby wyrazić symbolicznie łatwiejszy przystęp do Miłosierdzia Bożego przez uzyskanie odpustu jubileuszowego”.

ŚWIETUJEMY!

Blisko od dwóch tysięcy lat, co roku obchodźmy święta Bożego Narodzenia z ich piękną i bogatą tradycją chrześcijańską. Ciekawa rzecz, że nasza epoka, która zasadniczo nie liczy się z pamiątkami przeszłości, zachowuje tradycje Bożego Narodzenia doceniając przy tym jej wartość. Kolorowe światła, choinka, wigilia, życzenia — wywołują odpowiedni nastrój świąteczny. Co roku chętnie do nich sięgamy i ze wzruszającą radością i pietyzmem je odnawiamy.

Trzeba przyznać, że przygotowaniom do świąt Bożego Narodzenia poświęca się moc czasu. Robi się wszystko, by jak najlepiej świętować. Starzy i młodzi, szczęśliwi i nieszczęśliwi, bez obliczenia czy skrupułów, zdobywają się na gęsty, może nawet trochę szalony. W domu ustawiają choinkę, ozdabiają światłami, błyszczącymi kulami, kolorową girlandą. Moc czasu przeznaczają na pakowanie podarków, aby je potem rozpakować w jednej chwili, może mało znaczącej, bo podczas zajadania smacznego indyka czy ryby..

W tych zewnętrznych czynnościach kryje się pewien fenomen, który nam jednak umyka, bo jest związany z miłością ludzkiego serca. Fenomen ten jest dalekim odbłaskiem miłości Boga, którego przyjście na świat w ludzkiej naturze, też było czynem szalonym. To mógł uczynić tylko BÓG, który umiłował człowieka bez reszty. ON przychodząc do nas na ziemię, unżył swoje bóstwo, aby wywyższyć nasze człowieczeństwo. Dlatego też człowiek z dumą i radością wspomina przyjście na świat Syna Bożego. Cieszy się, że ma taką naturę jaką miał Bóg przed dwoma tysiącami lat. Prawda ta nieustannie nas zachęca do odważnego działania w imię Boga, który wszystko uczynił dla nas. Jeśli tak można powiedzieć, stał się s z a l o n y m w Swęj miłości do człowieka.

Boże Narodzenie... dziecko... człowiek... radość... miłość... braterstwo... pokój... prostota... Bóg-Człowiek. Wszystko to przeżyjemy na miarę naszej dobrej woli. A więc, pokoi tobie — człowieku dobrej woli i wszystkim, którzy dziś stają się takimi, jakimi Bóg chce ich mieć — ludźmi, którzy mają w sercu dosyć nadziei, by jednakowo świętować dziś i przez wszystkie dni roku.

Dzieje pewnej kołedy

Cheć pisać o kołędzie „Cicha Noc, święta Noc...”. Jej ojczyzną jest Tyrol, malowniczy kraj alpejski, należący do Austrii, z ludnością katolicką. Autorem słów jest ksiądz Józef Mohr (1792-1848), twórcą melodii organista Franciszek Ksawery Gruber (1787-1863).

O szarej godzinie, w wigilię Bożego Narodzenia 1818 roku siedział ksiądz Józef Mohr, pełniący obowiązki wikariego we wsi Oberndorf, w alpejskiej dolinie, cichy i skupiony w swej izbie przy dębowym stole rozczytując się w Piśmie Świętym, by przysposobić się do kazania na Pasterkę. Zatrzymał się na stronie opowiadającej o pasterzach w polu, u których zjawiał się Anioł i rzekł: „Narodził się wam Zbawiciel w mieście Dawidowym...”

W tejże samej chwili, kiedy ksiądz Mohr te słowa czytał, ktoś zakłócił do drzwi. Weszła wieśniaczka otulona w grubą chustę mówiąc, iż uboga żona węglarza, parafianka żyjąca w jednym z najwyższej położonych osiedli, porodziła dzisiaj dziecko; rodzice przwstali ją, żeby uprosiła księdza, by raczył przyjść i pobłogosławić dziecię, tak iżby żyło i dobrze się chowało.

Ksiądz Mohr uczył dziwne, niepokojące wzruszenie, gdy przestąpił próg ubożuchnej skąpo oświetlonej chaty i ujrzał młodą matkę leżącą na surowo ciosanym łożu, szczęśliwie uśmiechnięta, tulącą do siebie śpiącą dziecinę. Nie był to co prawda widok żobu w mieście Dawida, ale wraz i nieoczekiwanie skojarzyło się z tym widokiem w świadomości księdza niezwykłe, przenikliwe uczucie — uczucie, jakoby słowa które przedtem w Piśmie Świętym, był przeczytał, właśnie doń były skierowane.

Po Pasterce zasiadł ksiądz Mohr znowu przy dębowym stole w swej izbie, ażeby, wiedziony jakby jakimś dziwnym natchnieniem utrwalić na papierze to, co mu się w Wigilię przydarzyło. Słowa układały się w wiersze, a kiedy poranek zaświtał, wyrzął spod rąk księdza gotowy utwór poetycki. Tegoż samego dnia w dzień Bożego Narodzenia, organista Franciszek Ksawery Gruber, uzdolniony miłośnik muzyki kościelnej i zarazem nauczyciel śpiewu w wiejskiej szkole, przyjaciel księdza Mohra, przeczytawszy utwór i olśniony nim, ułożył w niego, nie zwlekając melodię.

Nowa pieśń wigilijna, acz dźwięczna i urzekająca, prawdopodobnie nie rozprzestrzeniłaby się w ówczesnych warunkach niedoskonałej komunikacji, gdyby drogi w świat nie był jej utorował przypadek.

W kościele zepsuły się organy. Proboszcz sprowadził sławnego w okolicy mistrza Karola Maurachera. Po skończonej robocie mistrz poprosił organistę, by instrument wypróbował. Gruber ją wygrywał urywki różnych pieśni, w końcu zagrał „Cichą Noc”.

— Tej pieśni jeszcze nigdy nie słyszałem — rzekł mistrz głosem wyrażającym zdumienie. — Czy pozwoli pan, że zapiszę sobie melodię.

Po powrocie do domu, Mauracher uczył dzieci gortliwie i z zapalem nowej pieśni. To też niezadługo stała się ona w całej okolicy ulubioną pieśnią ludową. Poczciwy Mauracher nie przeczuwał, iż zanosząc pomiędzy ludźmi pieśń, otwiera jej drogę w świat.

Spśród dzieciarni i młodzieży w tyrolskiej dolinie najpiękniejsze głosy miały dzieci Strasserów: Karolina, Józef, Andrzej i Amalia. „Śpiewają jak słowiki” — mawiali ludzie.

I podobnie jak słowiki pociągnęły podrośnięte Strasserowe dzieci starodawnym szlakiem i zwyczajem ku północy, do Lipska w Królestwie Saskim, na doroczne Wielkie Targi, ażeby wykładać i sprzedawać tam cieszące się dużym popytem miękkie rękawiczki skórkowe, wyrabiane przez ich rodziców.

Dzieci zauważyły, iż urok śpiewanej przez nich pieśni wywiera wrażenie nawet w tym tak zabiegliwym mieście; przechodnie przystawali, i widać było, iż są oczarowani powabną choć prostą melodią. Któregoś razu zatrzymał się przy nich pewien starszy pan; postur chwasty dłuższą chwilę przedstawił się dzieciom jako generałny dyrektor orkiestry Pohlenz; wdał się z nimi w rozmowę, wreszcie podarował im bilety wstępu na jeden z koncertów, którymi dyrigował w Sukiennicach, w starym domu cechowym lipskich sukienników.

Gdy dzieci wstąpiły na rzęsiście oświetloną salę wypełnioną panami i paniami wirtuosami ubranymi, były onieśmielone i rade, że zaprowadzono je na ostatnie miejsca przy podium. Siedziały jeszcze zadumane, z gorący-

mi główkami, zatopione w dźwiękach usłyszanej muzyki, gdy nagle i niespodziewanie musiały się przestraszyć: oto pojawił się na podium sam generałny dyrektor orkiestry i oznajmił donosnie, iż na sali przebywa czworo dzieci z najpiękniejszymi głosami, jakich od wielu lat nie słyszał — może byłby one chętne ich mościom królowi i królowej Saksonii, którzy są obecni, oraz audytorium zaśpiewać kilka swych czarujących pieśni tyrolskich.

Ta zapowiedź zatkała dzieciom oddech; twarze ich płonęły; odezwały się zachęcające oklaski.

— Zamkniemy po prostu oczy i będziemy śpiewali tak jak u siebie w domu — burknęła najmłodsza Amalka do swej gromadki.

Ich pierwszą pieśnią była „Cicha Noc, święta Noc...”. Gdy skończyły, słuchacze zamarli w osłupieniu i ciszy, aż zagrzmięła burza oklasków. Dzieci prześpiewały kolejno wszystkie pieśni, które znały, a kiedy już żadna więcej się nie przypominała, zaśpiewały na nowo „Cicha Noc, święta Noc...”

Gromkie oklaski i wołania o powtórzenie uciszył pewien dostojny pan, który powstał, by oświadczyć, iż ich królewskie moście życzą sobie przyjąć śpiewaków.

— To było rzeczywiście bardzo piękne, wspaniałe — rzekł król do dzieci, gdy mu je przedstawiono. — Tej wigilijnej pieśni jeszcze nigdy nie słyszeliśmy. Skądże ją znacie?

— To tyrolska pieśń ludowa, wasza królewska mość — odpowiedział Józef.

— Czy chcielibyście na święta przyjść na zamek i nam śpiewać? — zapytała królowa. — Nasze dzieci będą się bardzo cieszyły.

I otóż po raz pierwszy się zdarzyło, iż na zakończenie uroczystego nabożeństwa na Boże Narodzenie 1832 roku w królewsko-saskiej katolickiej kaplicy dworskiej w Pleissenburau (pomiędzy Linskiem a Dreznem) dzieci ze wsi tyrolskiej, Karolina, Józef, Andrzej i Amalia Strasserowie śpiewały:

„Cicha Noc, święta Noc!

Pokój niesie ludziom wszem.

A u żółbka Matka święta

Czuwa sama uśmiechnięta

Nad Dzieciątka snem.

Nad Dzieciątka snem”.

Odtąd nowa uroczą kołędą dostała skrzydeł i pożegnawszy roztropne a dzielne wiejskie dzieci tyrolskie, powędrowała w daleki świat. T.A.

LUDZIE SA TACY

„PORZUCONE DZIECI”. - Nauczycielka jednej ze szkół francuskich zauważyła, że 11-letni Jean przez trzy dni nie przychodzi do szkoły. Zaniepokojona jego nieobecnością odwiedziła mieszkanie chłopca. Otworzył jej Jean. W pokoju grał telewizor, chłopiec był zdrowy, od trzech dni wagarował. Rodzice niczego nie zauważyli. Wychodzą do pracy rano, wracają wieczorem. Takich dzieci zdaniem „L'Express” jest we Francji setki tysięcy. 9-letni Emil wraca do domu o szóstej po południu i witają go tylko dwa małe cokerery. Sam sobie robi obiad, odrabia lekcje, bawi się, idzie spać. Jego matka zajmuje się starożytnością i przygotowuje pracę naukową. Jego ojciec jest lekarzem i nigdy go nie ma w domu. Ta nowa forma „porzucenia dzieci” ma niespodziewane powiązania. Dzieci przywiązują się do swoich nauczycieli. Mały Eryk zwierzył się swojej nauczycielce, iż chciałby aby była jego matką. Dzieci szukają miłości poza domem. 10-letni Jacques ma otwartą rachunek w pobliskiej cukierni, gdzie zaprasza kolegów. W domu jest zawsze sam. Wakacje spędza z kolegami, nigdy z rodziną. Jego dwie pasje to lektura i adoracja nauczycielki. Troskliwie opiekuje się młodszym braciśkiem, gdyż matka - ja! - sam prowadzi - wróci do domu wtedy, gdy obaj będą w łóżkach.

NEIL ARMSTRONG był pierwszym człowiekiem, który odbył księżycowy spacer. 20 lipca 1969 r. opuścił wraz Edwinem Aldrin kabine „Apollo 11” i jako pierwszy z ludzi stanął na Księżycu. Armstrong jest dziś dziwnym stworzeniem. Milczy, ucieka od ludzi, a twarz jego zasępia się coraz bardziej. „Neil, który stanął na Księżycu, zapomniał stamtąd wrócić” - tak mówią jego przyjaciele. Nie udaly się nawet prestiżowe podróże po świecie, które zorganizowały NASA, bo nie chciał nawet powiedzieć, że Księżyc jest piękny. Kupił niewielką fermę i zgodził się wykładać fizykę na Uniwersytecie w Cincinnati. Mógłby zostać bogaczem, gdyby wygłosił choć kilkanaście odczytów, ale on ciągle odmawia. Nie odzywa się słowem nawet do najbliższych sąsiadów. Nigdy nie wymienia imienia Apollo i nigdy nie mówi o Księżycu.

Urodził się w moim sercu

Oto fragmenty pamiętnika osiemnastoletniej już prawie uczennicy z małego miasteczka.

22.12. - sobota

Wszystko staje się nieważne, o wszystkim zapominam i tylko cieszę się, że święta i ferie, że trochę oderwę się od przykrej nieraz rzeczywistości... Radość, której tak mało w moim życiu, bo coż znaczą te powierzchowne uśmiechy, zadowolenia z piątek w szkole wobec tego, że na świat przyjdzie Chrystus, małeńki, ubogi, ale cudowny. On urodzi się w moim sercu. Przygotowałam się na to przyjście i czekam...

23.12. - niedziela

Jak pięknie ta choinka pachnie! Muszę mieć ładniej w swym pokoju... Boże! Możesz przynieść... Już przygotowałam Ci mieszkanie. Nie będzie Ci zimno, nie będziesz głodny.

MODLITWA POWSZECHNA na IV niedzielę Adwentu (Cykl A)

Złożmy hołd Jezusowi Chrystusowi, Zbawcy naszemu, prosząc Go, aby ogarnął wszystkich ludzi swoją miłością.

1) Jezus przychodzi na świat, aby uczynić nas w pełni dziećmi Boga; aby wszyscy Go uznali, przyjęli w prawości serca, błagajmy Pana.

2) Jezus zapragnął narodzić się z Dziewicy Maryi; aby chrześcijanie zachowali czystość obyczajów i szacunek wobec drugich, błagajmy Pana.

3) Jezus przychodzi na świat ludzi sytych i cierpiących nędzę; aby pobudził nas wszystkich do dzieła sprawiedliwości i miłości prawdziwej, błagajmy Pana.

4) Jezus zstępuje na ziemię, by nas podnieść ku niebu; aby umocnił w nas wszystkich pragnienie dóbr wiecznych, błagajmy Pana.

5) Aby nasza wspólnota, w łączności z Maryją, niosącą nam Zbawiciela, pomnażała obecność Chrystusa w świecie, błagajmy Pana.

Panie, racz umocnić nasze serca w prawdziwej miłości i wierze, abyśmy postępując w doskonałości chrześcijańskiej, mogli się podobać Tobie i cieszyć się przyjściem Twójego Syna, Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen.

Mamusia postarała się, żeby niczego nie brakowało. Może tylko nie będzie Ci wesoło, bo ojciec wstąpi do „Zgody” na „dużo” i zrobi awanturę. Boże, przyrzekam Ci, że będę dobrą dziewczyną.

24.12. - poniedziałek

Asia wpadła do pokoju. Mamusia, już trzy gwiazdki świecą, co ja będę wam życzyć, ja nie umiem, powiedz mi... Czekaliśmy na ojca. Wreszcie otworzyły się drzwi. Wszedł wesoły - pociąg się spóźnił, myślałem, że już nie przyjadę. Poznałam, że pił. Zaciśnęłam zęby - nawet dziś musiał - pomyślałam, ale zaraz przypomniały mi się słowa Uli „musisz być dobra dla niego”. Składanie życzeń - wszystkiego najlepszego, szczęścia, zdrowia - padały utarte słowa. Asia przejęta, czerwona, zdenerwowana, trzymając ojca za szyję mówiła prędko, chaotycznie - żeby tatuś wódki nie pił... Głupio mi się zrobiło - ja mu tego nie życzyłam, a powinnam. Zabrakło mi odwagi... I już ostatnie danie. Wspaniała

MODLITWA POWSZECHNA NA BOŻE NARODZENIE

„Dobra Nowina” Zbawiciela, który jest wśród nas powinna pocieszyć cierpiących, umocnić słabych i oświecić tych, którzy wątpią.

1) Aby Kościół wszystkim ludziom naszych czasów nie przestawał głosić orędzie radości i pokoju Bożego Narodzenia, błagajmy Pana.

2) Aby cierpiący z powodu wojny czy wygnania odzyskali nadzieję i osiągnęli upragniony pokój, błagajmy Pana.

3) Aby biedni i samotni w tym dniu Bożego Narodzenia odczuli, że są kochani przez Boga, błagajmy Pana.

4) Aby wielcy tego świata użyli swoich wpływów i władzy w niezmodernym poszukiwaniu sprawiedliwości i pokoju, błagajmy Pana.

5) Aby nasza wspólnota w świetle Bożego Narodzenia odrodziła się wewnętrznie, błagajmy Pana.

Panie Jezu, przychodząc do ludzi, objawiłeś nam niezwykłą miłość Boga; wysłuchaj naszych modłów i udzielać naszym czasom radości i pokoju. Który żyjesz z Ojcem i Duchem Świętym przez wszystkie wieki. Amen.

ryba, wspomnienia z Sapporo, przyjemnie. I właśnie w tej chwili ojciec wybucha — co, ja to będę jadł? Wy to możecie jeść, ja pracuję... Słowa zlewają się, słychać nieprzyjemny bełkot, huk, przewraca się na łóżko i cisza, tak jak gdyby się nic nie wydarzyło. — Jolka, śpiewamy kolędy — Tak, śpiewamy. Ocknął się. Już północ. Tyle ludzi, wszyscy rozśpiewani. Ja z mamusią w tłumie, blisko ołtarza. Modlimy się. Ona pewno za ojca, a ja? Nie wiem za kogo, czy o coś. Rozmawiam z Nim o wszystkim. Mówię mu, że jestem teraz szczęśliwa, przepraszam, że jestem taka prostacka, pospolita, przywiązuję wagę do rzeczy banalnych, kłamię, nienawidzę, przepraszam za egoizm.

25.12. - wtorek

Maryjo — wydałaś na świat Boga, byłaś najszcześniejszą z matek. Pozwól, bym ja była dobrą córką, a moja mama była tak szczęśliwa, jak ty byłaś. Modliłam się gorąco przed Cudownym Obrazem. Wracaliśmy razem z ojcem. Szłam dumna. Chciało mi się krzyknąć: patrzcie, mam kochających się rodziców.

26.12. - środa

Czy ja mam choć trochę miłości w sobie? „Kto nie ma miłości, Boga nie

zna, bo Bóg jest miłością”. To znaczy, że ja Boga nie znam. A może znam, tylko bardzo mało? Odwiedziłam Grzyńę. Tyle miałyśmy sobie do powiedzenia, a okazało się, że te dwa lata rozłąki wytworzyły między nami dystans... Ojciec nie odmówił sobie wódki i upił się.



**Modlitwa Powszechna
na uroczystość Świętej Bożej
Rodzicielki Maryi
1 stycznia 1974**

Bracia, gdy dzisiaj składamy życzenia naszym bliskim, prośmy Boga o błogosławieństwo dla nas wszystkich w Nowym Roku.

1) Aby Kościół na wzór Maryi, Matki Boga, dał światu Zbawiciela i zgromadził wokół Niego wszystkich ludzi, błagajmy Pana.

2) Aby ci, którzy poświęcają się w służbie braciom, odnowili swoją gorliwość i odwagę, błagajmy Pana.

3) Aby wszystkim sierotom, które nie mają już matki, Bóg pozwolił poznać ludzi o sercu uważnym i współczującym, błagajmy Pana.

4) Gdy obdarowujemy nasze dzieci podarkami, inne umierają z głodu, nędzą czy jako ofiary wojny; za tych wszystkich małych braci Chrystusa, błagajmy Pana.

5) Aby Najświętsza Maryja Panna była Królową i Matką naszej wspólnoty i zgromadziła wszystkich w jedną, wielką rodzinę, błagajmy Pana.

Maryjo, Matko Boga i Matko wszystkich ludzi, znasz potrzeby ziemi, jak znasz plany Boga wobec nas. Naucz nas uzgadniać nasze pragnienia i nasze działania z wolą i miłością Twojego Syna. Który króluje z Ojcem i Duchem Świętym przez wszystkie wieki. Amen.

Migawki emigracyjne

KOESPONDENCYJNE KURSY JĘZYKA POLSKIEGO. - Rozporządzeniem francuskiego Ministerstwa Oświaty Uniwersytet Lille III organizuje począwszy od listopada 1974 r. korespondencyjne kursy języka polskiego.

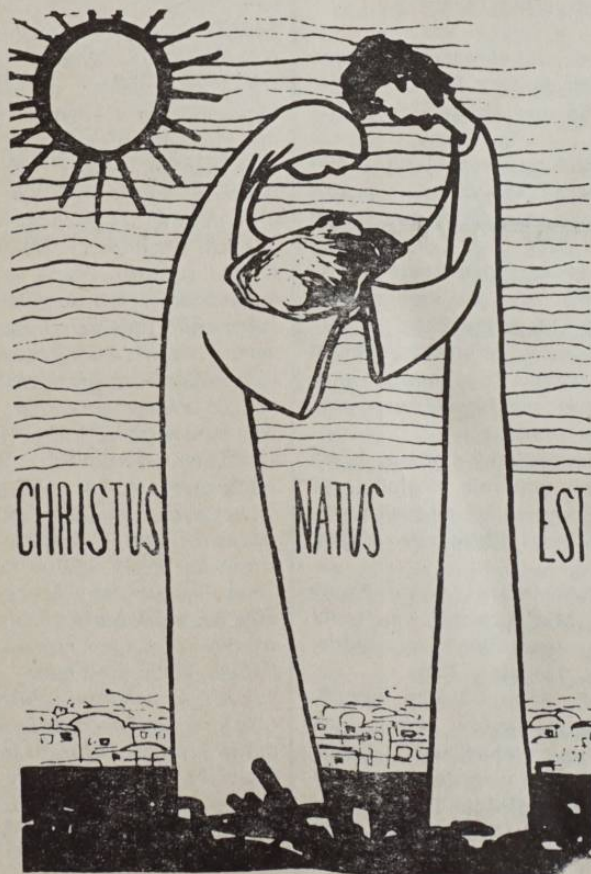
WSRÓD POLAKÓW W RUMUNII. - Zagubiona wśród wysokich bukowin-
skich gór osada góralska Polonia Micului niczym w zasadzie się nie różni od pobliskich rumuńskich wiosek. Tak samo zbudowane domki, wokół których rosną kwiaty, ten sam codzienny trud pracy. A jednak jest szalona różnica... Rzecz w tym, że jest to wioska polska. Pomimo wielu stuleci, odcięci od świata nasi górale zachowali swój język, kulturę i obyczaje. Tutaj wśród gór daje się odczuć swoistą atmosferę serdeczności i silnej więzi między ludźmi. Płowe główki dziecięce z szuncikiem pochylają się pozdrawiając obcego przybyśca po staropolsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Te dzieci nigdy nie były w Polsce, a jednak uczono je z dziada pradziada kultu dla wszystkiego, co polskie i święte. Często ci najmłodsi nasi rodacy nie umieją dobrze mówić po rumuńsku, ale słowa modlitwy wymawiają po polsku, wielokrotnie nawet nie rozumiejąc różnych słów. W Polana Micului mieszka też kilka rodzin Polaków wielki kult dla religii, sam imieniem Jezusa pozdrawiają po polsku swoich sąsiadów. Młode pokolenie wioski znajduje dużo zadowolenia w inscenizacji barwnych jasełek, czy śpiewaniu polskich kolęd. I ono też garnie się do kościoła. Kościółek polski znajduje się przeszło 4 km od wioski, co nie przeszkadza, by rano lub wieczorem zająć tam i choć przez chwilę się pomodlić. Sam kościółek wzniesiony tuż po wojnie, w miejsce doszczętnie spalonego przez Niemców, jest taki sam, jak setki czy tysiące wiejskich kościołów w Polsce. Narecza kwiatów znoszonych ze swoich ogrodów przewozdabiają skromny, lecz piękny ołtarz główny i jego boczne nawy. Polska pieśń kościelna śpiewana wv sokini, goralskimi głosami, nabiera tutaj szczególnego znaczenia. Ksiądz, mający w swej duszpasterskiej opiece 3 polskie osady: Nowy Słoniec, Połepszą i Polanę Micului, wkłada dużo trudu w swoją pracę, ale ma tego widoczne rezultaty. (N.O.)

Boże Narodzenie

**Choroba pokonana. Nadzieja zamiesiona w daleką Afrykę. Czyjeś wołanie o pomoc do-
słyszane. Bracia opuszczeni
i odnalezieni gdzieś w Chinach.
Cztery historie nadziei, z których każda na
swoją sposób, mówi o tajemnicy
Bożego Narodzenia.**

Blisko dwa tysiące lat temu pasterze - lu-
dzie „bez pieniędzy”, „bez pozycji społecz-
nej”, roznieśli po świecie nadzieję Bożego
Narodzenia: Dziecko się narodziło, które zdol-
ne jest przemienić serce człowieka i oblicze
ziemi.

**A więc istnieje nadzieja
krucha, chwiejna, lecz niezniszczalna.
Jak wówczas, pierwszego dnia.**



1. Zwycięstwa Karen

— Czy chciałbyś pójść na sam szczyt schodów? Chcę spróbować... — Karen DeBolt zwróciła się któregoś wieczoru do ojca, gdy wrócił z biura.

— Oczywiście, moje kochanie — odpowiedział ojciec.

Mała 6-letnia Karen, urodzona bez rąk i nóg, mając zaledwie dwa latka zaczęła się przygotowywać do ćwiczenia, które w tej chwili chce wykonać. Wspierając się na swoich plastikowych członkach i niebiesko-biało-czerwonych kulach, rozpoczyna wspinaczkę na 20-sty stopień, krętych schodów. Wchodzi stopień po stopniu, siłą swej woli. Kiedy dotarła na szczyt, wzruszony Bob DeBolt porwał ją w swoje objęcia, podczas gdy jego żona Dorothy, hracia i siostry Karen śmiali się i płakali, przejęci radością.

Tego wieczoru, państwo DeBolt i ich siedmioro dzieci plus dziewięcioro adoptowanych, zgromadzeni w pokoju jadalnym, gratulowali Karen, a potem sobie wzajemnie, dziękując równocześnie Bogu za łaskę tego cudu.

Karen jest przyzwyczajona do zwycięstw, ponieważ od urodzenia nie przestawała odnosić triumfy nad twardą rzeczywistością. Po jej urodzeniu, lekarze zanotowali w jej karcie chorobowej „fizycznie nienormalna”. Orzekli wówczas, że nigdy nie będzie mogła skakać, biegać czy bawić się, jak inne dzieci. Nie będzie nawet mogła uściśnąć piasku w swoich ramionach, ani zrywać płatków róż.

Nigdy też nie będzie mogła uściśnąć swojej prawdziwej matki, która po urodzeniu zostawiła ją w jednym ze szpitali Stanów Zjednoczonych, który mógł małej Karen coś pomóc. Niedługo potem dziecko zostało przeniesione do innego szpitala.

Kiedy miała dwa latka, lekarze specjaliści „ze względów czysto estetycznych” dokonali operacji zniekształconych części ciała. Ale Karen miała swoją ideę, i po niecałych dwóch miesiącach z pomocą lekarzy, pielęgniarek i zakonnic zaczęła chodzić. Małą Karen cały personel szpitala bardzo kochał, był dla niej rodziną, która dodawała jej odwagi i pouczała jak ma chodzić. Nikt jednak przez pięć lat nie wyrażał chęci jej zaadoptowania. A czas upływał...

I wtedy pojawili się państwo DeBolt z Piedmont w Kalifornii. Pani Dorothy DeBolt miała już wielkie doświadczenie w

adoptowaniu dzieci. W 1957 mając syna i cztery córki, ulitowała się nad losem małych Koreańczyków, traktowanych za pariasów w swoim kraju, adoptując te dwie sieroty: Kim i Marty.

Po śmierci swojego męża (rok 1963) pani Dorothy nie przestała się interesować małymi sierotami. W 1969 r. zaadoptuje Tich i Anh, dwóch chłopców wietnamskich, których rodzice zostali zabici, a oni okaleczeni na całe życie. W następnym roku poślubiła Roberta DeBolt, dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego, który miał córkę z pierwszego małżeństwa. Nowa rodzina liczyła wówczas dziesięcioro dzieci. Wkrótce potem powiększyła się o małą Sioux, 11-letnią dziewczynkę Indiankę i 12-letniego chłopaczkę z Biafry. Potem jeszcze rodzina przyjęła Dat i Trang, dwóch Wietnamczyków w wieku licealnym. A wreszcie Sumee, sparaliżowana sierotką koreańską, w wieku czterech lat.

Bob i Dorothy spostrzegli, że pomagając Sunee posługiwać się kulami i ucząc ją uśmiechu, Tich i Anh, dwaj kalecy chłopcy nabrali wiary w swoje siły, a ona także. Stwierdzili więc, że koniecznie trzeba ich małej córeczce dać okazję pomagania komuś, by dziecko nabrało wiary w swoje siły. Agencja do spraw adopcji Spence-Chapin w Nowym Jorku, zaproponowała im małą Karen. To był pierwszy wypadek w Stanach Zjednoczonych, aby dziecko, tak mocno upośledzone fizycznie, znalazło rodziców, gotowych je zaadoptować. Pod koniec 1972 roku, 6-letnia Karen przyleciała samolotem do Kalifornii.

Karen, by wejść do rodziny DeBolt, dosłownie musiała postawić swoje pierwsze kroki.

— Nieśliśmy ją aż do domu — opowiada Dorothy — ale przekroczyć próg naszego domu musiała sama. Nie był wysoki, jednak dla Karen to była trudność do pokonania. Chwile stała, chwytając się na wszystkie strony, usiłując postawić nogę po drugiej stronie progu. Żadne z dzieci nie spieszyło jej z pomocą, ale wszystkie z wewnątrz mieszkanka dodawały jej odwagi, wołając: „Dobrze Karen! Na pewno to zrobisz!” Kiedy w końcu zrobiła pierwszy krok, wszyscy ją oklaskali. Ona zaś, dała nam zrozumieć, że odnalazła swój prawdziwy dom. Słodki uśmiech dziecka rozjaśnił całe mieszkanie.

— Teraz — ciągnie dalej Dorothy — Karen nawet nie zauważa tej małej przeszkody. Ogromnie ważne jest dla

małych kalek okazywanie im radości z dokonanego postępu i ciągle zachęcanie ich do nowego wysiłku.

Karen w otaczającej rzeczywistości odkrywa wciąż nowe rzeczy, które poznaje równie radośnie, jak każde inne dziecko. Przykłada policzek, by zobaczyć czy kukurydza jest ugotowana i ciepła, albo „ożywia” patyki, które jej służą za ręce: „O! To pali!” — wykrzykuje, myjąc je w ciepłej wodzie. Albo jeszcze: „Jakie to miękkie, delikatne!” — powiada pieszcząc kotka.

— Gdy w szpitalu w Nowym Jorku badano Karen, — powiada pani DeBolt — stwierdzono u niej, niezwykle charakter, połączenie inteligencji, odwagi i silnej woli. Kto mógł jej go dać w tym wieku tak bardzo wrażliwym? Z pewnością to jest dar Boga dla odważnej Karen.



Na wiosnę 1973 roku Karen prosiła swoich rodziców, by ją zapisali do udziału w marszu, jaki zorganizował Czerwony Krzyż. Dochód miał pójść na dzieci wydziedziczone. Państwo DeBolt chętnie się na to zgodzili, a za każde okrażenie jakie dokona postanowili dać jej 10 centów.

Cathy Umino, nauczycielka Karen w szkole Whitton dla kalek relacjonuje:

— Pozwalamy dzieciom jedynie dziesięć razy okrażać szkołę. Dziesięć razy... nie więcej.

Bliscy Karen zadają sobie wiele trudu, aby dziecko wciągnąć w życie.

— Karen nie przestaje nas zdumiewać — mówi Dorothy DeBolt — i w naszych modlitwach prosimy Boga,

abyśmy byli jej godni. Chcielibyśmy po prostu dojść na jej szczyty... i pomóc jej rozwinąć się jeszcze bardziej.

Dziecko bierze udział w życiu domu, wypełniając wiele codziennych prac, takie jak posłanie łózka czy ułożenie bielizny. To, że jest czarna, a jej rodzice biali, nie stanowi dla niej problemu. Na razie jest niewrażliwa na tego typu kwestie. Steve, kolega szkolny, który twierdzi, że jest w niej zakochany, zażywał ją któregoś dnia, czy jej mama była biała czy czarna?

— Ona nie ma koloru, — odpowiedziała. — Taka jest moja mama.

W ubiegłym roku oznajmiono Karen i Sunee, że będą miały nową siostrzyczkę, Kureankę, dotkniętą częściową ślepotą. To biedne dziecko zostało jeszcze oparzone a w końcu opuszczone przez swoich rodziców, niezdolnych znieść jej fizyczne kalectwo. Karen od razu ofiaruje jej pożyczyc swoje kule.

— To bardzo miło z twojej strony, moja kochana — odpowiada jej mama — ale ona ma nogi.

— I może się nimi posługiwać? — pyta Sunee.

— Tak, bardzo dobrze. Jedynie nie widzi wyraźnie.

Karen zastanawia się na moment, potem oświadcza z uśmiechem:

— To nic, mamusiu, ja pożyczę jej moich oczu.

2. Zbawiciel narodził się w Masai

Masai, dzień Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1971.

Najmilsza, Najdroższa Mateczko, w pierwszych dniach grudnia wysłałem Ci list lotniczy, byś dostała na Gwiazdkę życzenia moje, nieposłusznego Twego syna, który wbrew Twej woli porzucił kraj, dobrą egzystencję, szanowane w swej ojczyźnie stanowisko duszpasterza i uciekł gdzieś na kraniec świata, by nieść Ewangelię maluczkiemu, ileż to wylaś też z powodu mego szaleństwa, bo tak wielu nazywa powołanie misjonarza. Inni zaś mówią dzisiaj: co w ogóle może dać człowiek biały ludom kolorowym, ten, który dotąd grabił ich cynicznie, on, bogacz, żył z pracy biedaków, zagrabił ich najlepsze ziemie, tu czuł się ich nędzą.

Tak było i częściowo jest dotąd właśnie w Kenii. To kraj, gdzie człowiek

biały nosi jeszcze na swym czole piętno winowajcy. Olbrzymia większość tubylców Kenii to poganie. Po większych miastach bardzo tu nielicznych i ich okolicach siedzą pastorzy anglikańscy. Kenia była do niedawna kolonią brytyjską. Niepodległość uzyskała dopiero u schyłku 1963 roku, a więc dwa lata przed przybyciem moim do tego kraju. Europejczyka nazywało się tu wtedy „człowiekiem z Białych Wzgórz”. Ta nazwa zamykała wszystkie serca autochtonów. „Białe Wzgórze” to olbrzymia połać Kenii licząca około 100.000 km powierzchni o najurodzajniejszych gruntach, z których wypędzono Murzynów w początkach dwudziestego wieku, oddając je kilku tysiącom Brytyjczyków. Czarni musieli na nich pracować prawie za darmo, nic więc dziwnego, że wybuchło w r. 1953 krwawo stłumione ich powstanie.

Okrucieństwa Brytyjczyków z tamtych czasów przypominają do złudzenia czasy okupacji hitlerowskiej naszego kraju. Wiedziałem, Kochana, o tym wszystkim i dlatego z kilkoma takimi jak ja zapaleńcami, misjonarzami belgijskimi z Konga, wyruszyliśmy do Kenii. Dotąd pisałem do Ciebie. Mateczko, z miasta Nakuru, gdzie mamy główny dom misyjny. Było mi tam za dobrze, Matus, tak dobrze, że zląkłem się o moje zbawienie. O nic tam nie trzeba było walczyć.



Pisałem Ci już, Najukochańsza, że zaraz po przybyciu do Nakuru wepchałem mnie do szpitala, bo ukończyłem przecież Instytut Medycyny Tropikalnej w Brukseli. Biedy ludzkiej tu moc nie przebrana, ale niedobrze się czułem na stanowisku lekarza. Ja rwałem się na pierwszą linię frontu, a dano mnie do sztabu, posadzono, jak mówi się u nas w Polsce, przy ciepłym piecu, bo tutaj

wszyscy mają nadmiar gorąca od piekącego, upalnego słońca. Wokół witały mnie same rozjaśnione twarze, wszyscy chórem śpiewają psalmy przy każdej okazji, wszyscy są nawróceni. Na pewno byłem potrzebny w Nakuru, bardzo nawet, ale głos mego powołania mówił mi co innego.

Dowiedziałem się, że postrachem mieszkańców Kenii jeszcze przed kilkudziesięciu laty było zbrojeckie plemię Masajów. Terroryzowali oni inne plemiona i prawie całe życie tego wielkiego kraju. Brytyjczycy byli zmuszeni zepchnąć Masajów do obszernego rezerwatu nad słynnym jeziorem Rudolfa, gdzie mieli żyć z rybołówstwa i pasterstwa w nadjeziornym buszu oraz łowiectwa, bo byli to zawołani myśliwi i pastarze, ale najlepiej wyżywiali się w wojowniczych wyprawach, twierdząc, że „masai” znaczy w ich nilotyckim narzeczu „wojownik”. Praca nasza misyjna miała objąć całą północ Kenii. Tam na północy nad „Wielkim Słonym Jeziorem” mieszkają teraz ci przesiedleni Masajowie, dzieci Księżycy, jak siebie sami nazywają, obrawszy sobie tego satelitę Ziemi za głównego boga.

Ci Masajowie nie dali mi spokoju. Uczyłem się ukradkiem ich języka z angielskiego podręcznika i bardzo się ucieszyłem gdy jeden z moich pacjentów powiedział mi, że jest Masajem. Przybył do Nakuru jako posługacz handlarza skór i zachorował nagle na tyfus. Przez chorobę stracił pracę i po wyleczeniu został u mnie. Mdeya stał się moim przyjacielem i teraz jest ze mną w Masai. Stało się to tak: mamy na północy placówkę misyjną w miasteczku Lodwar o kilkadziesiąt kilometrów od krańca Masajów. Z tego Lodwar ruszył nad jezioro Rudolfa jeden z naszych ojców ksiądz Knabe, Niemiec, by po raz pierwszy w dziejach świata nieść Masaiom słowo Boże. Otóż w połowie tego roku przyszła wieść z Lodwar, że ojciec Knabe został zamordowany, a jego kościół spalony. Ojcowie z Lodwar pisali, że trzeba zrezygnować z misji nawrócenia Masajów.

Nasz przełożony ksiądz Mininc zwołał zaraz zgromadzenie ojców i braci, by omówić sprawę Masai. Wszyscy byli zdania, że ojcowie z Lodwar mają rację.

— I tak mamy nadmiar pracy pośród innych spokojnych plemion, niech Masajowie poczekać na lepsze czasy. Może kiedyś nie będą już tak krwiożercy — mówiono. Wreszcie wzrok ojca prze-

łożonego spoczął na mej twarzy.

— Nic dotąd nie mówisz, ojciec lekarzu — odezwał się.

— Bo nie zgadzam się z tymi, co dotąd mówili — odparłem.

— Nie zgadzasz się z nami wszystkimi? — zdziwił się superior.

— Tak. Tym ludziom znad jeziora Rudolfa najbardziej potrzebne jest światło, bo bardzo błądzą.

— Ależ oni zabijają! — zawołał ojciec kierownik szkoły.

— Właśnie dlatego — odparłem. — Ktoś z nas powinien zająć miejsce ojca Knabe.

— Nie widzę nikogo, kto mógłby to uczynić — rzekł nasz przełożony. Sprawę tę należy odłożyć na później.

Ja tam pojedę — oświadczyłem — jeśli dostanę zezwolenie. Akurat przyjechał przecież nasz nowy ojciec lekarz z Nairobi. On mnie tu może zastąpić.

— Jest dość pracy w szpitalu na was dwóch — odparł ojciec superior.

— Ale tam nie ma nikogo! Pozwólcie mi jechać do Masai, proszę o to gorąco — powiedziałem.

— Sprawa jest trudna. Będę się modlił, by Duch Święty mię oświecił, co mam zdecydować — szepnął cicho nasz przełożony. — Poczekaj na mą odpowiedź parę dni, mój bracie.

W tydzień potem jechałem motocyklem bitą drogą na północ. Z tyłu na siodełku trząsł się mój wierny Mdeya. W przyczepie motoru wiozłem najpotrzebniejsze rzeczy, a pośród nich pudełka zastrzyków i lekarstw przeciw chorobom tropikalnym, głównie narządów trawienia i grzybicom skóry.

Na stacji misyjnej w Lodwar żegnało mnie jak człowieka skazanego na śmierć.

— Szkoda ojca — mówił jej kierownik Francuz Bijoux kręcąc głową. — Że też ojca tam puścili... To stracona porzeczka, a właściwie nigdy nie zdobyta. Tu świat kończy się na przedmieściach Lodwar, dalej to już tylko nieujarzmiona natura i nieujarzmiona ani przez Boga, ani przez prawo człowiecze dzicz ludzka.

W Lodwar nabyłem cały potrzebny mi sprzęt techniczny. Jak to dobrze. Mamo, że nasz ojciec był cieśla i sam stawiał naszą chatę po pożarze oraz pomagał w budowaniu domów innym. Przy nim nauczyłem się i tego szlachetnego rzemiosła świętego Józefa i Syna Maryi. Sam z pomocą z początku tylko jednego Mdei wznosiłem w puszczy nad

Wielkim Słonym Jeziolem dom Boży na zgłiszczach kościoła męczennika ojca Knabe. Spaliśmy z Mdeya w namiocie pod osmalonym przez pożar cedrem. „Stolica” szczepu Masai była od nas odległa zaledwie o dwa kilometry, gdyż kacyk plemienny Masa Kanowa nie zezwolił białemu misjonarzowi na budowę świątyni w obrębie swej siedziby. Z początku pracowaliśmy zupełnie samotni, potem zaczęły nas odwiedzać dzieci, dawni katechumeni ojca Knabe. Były one jakieś zastraszone, małowówne. Zerkwały na nas z lękiem, ale potrafiły powiedzieć w swym narzeczu parę słów „Ojcie nasz”, co zdradzało ich kontakt z zamordowanym misjonarzem. Jednego wieczoru wiatr od strony osiedla Masajów przyniósł nam głuchy łoskot tam tam, wielkich bębnow z naciągniętej na obręcz skóry anlylopy.

— Ojcie — rzekł do mnie Mdeya — oni grają taniec śmierci, tam ktoś umiera.

— Pójdziemy do nich — zdecydowałem nagle — przecież do nich przybyliśmy.

Już pierwsze dzieci u wejścia do wielkiej wsi powiedziały nam, że wódz plemienia Masa-Kanowa umiera.

— Prowadźcie mnie do niego — odparłem.

Zadane z nich tego nie chciało zrobić. Pokazały mi tylko chatę kacyka. Ruszyłem do niej natychmiast. Masa-Kanowa leżał na macie plecionej z włókna siłalu i dyszał ciężko. Przeraził się bardzo na mój widok.

— Przyszedełś znowu, szatanie z Białych Wzgórz — zacharczał — a ja nie mam już sił, by cię zabić. Złe białe duchy, mszcząc się za swego pana, nasyłały wielką chorobę na całe moje plemię. Umieram ja i moje żony, umierają moi wojownicy. Ciesz się, biały szatanie...

— Maso Kanowo — odpowiedziałem — myślisz się. Nie jestem człowiekiem z Białych Wzgórz. Przyszedełem tu do was z dobrą nowiną. Zwiastuję się, by leczyć wasze dusze i wasze ciała. Chce wam pomóc. Pozwól mi, bym próbował was najpierw uzdrowić.

Kacyk jęknął tylko głucho, ale nie znaczyło to, że odrzuca moją pomoc. Diagnoza nie była trudna: tyfus tropikalny, najczęściej wybuchający u schyłku „zimy” równikowej, więc na końcu porę deszczowej i na początku porę suchej, zaczynającej się w pierwszych dniach grudnia. Wszystkie potrzebne leki miałem ze sobą. Przez piętnaście dni

walczyłem o życie kilkudziesięciu mych przygodnych pacjentów. Nikt z nich nie umarł. Ci, co byli zdrowi, przychodzili mi pomagać w budowie kościoła. Kilka dni przed Gwiazdką rozpocząłem pierwszą naukę. Przybył na nią sam Masa Kanowa ze swymi żonami, dziećmi i wnukami. Mówiłem im o bilskim narodzeniu Syna Bożego, który przyszedł na świat, by pocieszyć wszystkich cierpiących i dać im życie wieczne w raju. Powiedziałem, że ludzie tacy jak oni, pasterze, przyszedli pierwsi powitać Narodzonego, a nie bogacze, a On przykazał rozdać wszystkim dostatkę i iść za Sobą, by odnaleźć Królestwo Boże.

Na Pasterkę przybyli chyba wszyscy mieszkańcy Masai z wodzem plemienia na czele. Zastanowiło mnie to, że mieli w rękach kije i dźwigali sakwy podróżne. Niespodziewanie Masa Kanowa upadł mi do nóg i z płaczem wyznał.

— To ja, biały ojcie, zabiłem twego brata i spaliłem dom Boży, bo myślałem, że niesie on nam zgubę. Ty otworzyłeś oczy moje. Niech mi przebaczy Bóg, co się dziś narodził i ma takie sługi jak ty. Zrobiliśmy, jak kazałeś. Zostawiliśmy wszystko, cośmy mieli, tym Muhoi, ludziom schwytanym na polach, których zmusiliśmy do pracy u nas, i pójdziemy z tobą powitać narodzonego Boga, co nas zawiedzie do swego królestwa. Prowadź nas, ojcie!

— Prowadź nas, ojcie — zawtórowała mu cała gromada jego współbraci.

Łzy zakreśliły mi się w oczach. Jakże trudno mi było namówić tych biedaków, by powrócili do swych ognisk domowych. Tak, Mateczko, Zbawiciel naprawdę narodził się w Masai...

3. Telefon nadziei

Annie, szatynka, około 40 lat, prawie od dziesięciu lat pracuje w SOS Przyjaźń. Co tydzień siada przy telefonie, by wysłuchiwać innych: „Jeżeli tyłu mężczyzn i kobiet wzywa nas, to znaczy, że nikt ich nie słucha i nikt ich nie rozumie... Może mnożyli wizyty lekarskie, porady psychiatrów, opiekunów społecznych. Może wyczekiwali na próżno dobrego słowa współmałżonka, odwiedzin przyjaciela... Ale dłużej już nie mogą, życie staje się nie do zniesienia. Któregoś wieczoru przypominają sobie nasz numer telefonu i dzwonią. A my, anonimowi i niewidzialni, jesteśmy po to, by ich słuchać, przyjąć, wy-

zwoić z samotności i lęku, pomóc ujrzeć coś jaśniej w nocy, która ich otacza”.

Annie jest jedną spośród 1.300 pracujących w ośrodku SOS Przyjaźń. W ciągu roku w Paryżu, Nicei, Rennes, Nantes, Nancy i osiemnastu innych miastach Francji, przyjęto przeszło 100.000 wezwań. Najbardziej przeciążony pozostaje wciąż ośrodek paryski: rocznie około 50.000 wołań o pomoc.

„Nie mam odwagi”. „Jesteśmy — mówi Annie — anonimowym uchem, które bez przerwy słucha, czy też głosem, który kieruje rozmówcę do rozwiązania nurtujących go problemów. Każda rozmowa jest wstrząsającym przeżyciem. Nieraz zaczyna się od lawiny słów, potem wobec naszego spokoju, serdecznego milczenia, mówiący nabiera nadziei...”

Zwykle są to mężczyźni czy kobiety, które przedstawiają zawsze te same problemy: miłość, która umarła, zerwanie zbyt ciężkie do zniesienia, myśl o przerwaniu ciąży, problem ograniczenia potomstwa... Nieraz bardzo młodzi, zbuntowani lub w rozpacz.

— Przyjechałem do Paryża, by pracować. Byłem sam, dostałem się w ręce bandy, jestem niewolnikiem.

— Moi rodzice są mili, ale nie czuję się z nimi dobrze. Pragnę się uniezależnić.

— Moi rodzice się rozwiedli, żyją z innymi, już nie jestem u siebie. Mam przyjaciółkę, która jest dla mnie dobra i dodaje mi odwagi, ale po rozwodzie rodziców patrzę sceptycznie na miłość.

— Nie mam odwagi wrócić do domu, ponieważ przeżyłam przed chwilą moje pierwsze doświadczenie z chłopakiem. Brzydę się i jestem w rozpacz.

Wielu młodych mówi również o Bogu: „Umrę nie spotkawszy Go. Gdybym miał szczęście w Niego wierzyć!”

„Jak miłość”. Zdarza się niestety, że niektórzy telefonują za późno. Nieraz odrzucają wszelką doraźną pomoc i proszą jedynie o wsparcie moralne. To jest najtrudniejsze zadanie.

— Zażyłem silną dozę trucizny — tłumaczy w telefonie młody człowiek w noc Bożego Narodzenia. — Zbyt długo trzebaby tłumaczyć dlaczego to zrobiłem. Nie chcę być odratowany. Zechciałaby pani jedynie poświęcić mi kilka chwil?

Po godzinie nie był już zdolny wykrztusić słowa... Ale na szczęście tego

typu wypadki są rzadkie, w Paryżu trzy albo cztery na rok.

W ośrodkach SOS Przyjaźń pracują księża, urzędnicy, matki rodzin. Pracują darmo. Przez okrągłe 24 godzin wyczekują na wołanie ludzkiej rozpacz. Najbardziej zdumiewający fakt to to, że słuchający posługując się jedynie słowem, potrafią stworzyć klimat zaufania zdolny rozwikłać najbardziej dramatyczne sytuacje...

SOS Przyjaźń to po prostu pomocna dłoń wyciągnięta wtedy, gdy wszystkie inne się wycofały. To może wydawać się nie wiele, a jednocześnie to wszystko. Podobnie jak miłość.

4. W imieniu dwóch milionów

Urodził się w Szanghaju. Mieszka obecnie w Paryżu, na szóstym piętrze, wśród stosu książek i czasopism, które nie znajdują już miejsca na półkach ustawionych wzdłuż ścian skromnego pokoju. Na ścianach obraz Jezusa, obok portret Mao, Pawła VI i de Gaulle'a. W tym miłym nieporządku Ludwik Wei, jowialny i zapobiegliwy, lubi gościć swoich przyjaciół i częstować posiłkiem zrobionym „po chińsku”. — „Jeść tylko patykami!” — woła ze śmiechem. Mimo czterdziestu trzech lat przebytych z dala od ziemi ojczystej, pozostał Chińczykiem — „ponieważ to siedzi w naturze”. Pozostał wierny swojej ojczyźnie, jest chrześcijaninem i kapłanem katolickim od ośmiu lat. Największym jego pragnieniem jest zbudować pomost między Chinami, a Kościołem Katolickim, jak dotąd dwa obce sobie światy...

Długa Droga. Ludwik Wei urodził się w roku 1903 w rodzinie chrześcijańskiej. Mając siedemnaście lat opuszcza rodzinny dom. Najpierw studia, potem pracuje jako dziennikarz, nauczyciel i wreszcie wyjeżdża z Chin, gdy ma dwadzieścia pięć lat. Znajduje się w Singapurze, gdzie zakłada szkołę dla kolonii chińskiej. W cztery lata później władze brytyjskie, ze względów politycznych, zamykają szkołę. Ludwik Wei wyrusza więc w dalszą drogę. Bedzie to droga długa. Opuszcza Singapur 16 kwietnia 1931 roku. Pieszko przemierza Indie, Azję Mniejszą, Turcję, Grecję i po dwóch latach przybywa do Paryża. Stał się najbardziej zdumiewającym pieiigrzymem

Roku Świętego. Odtąd nie opuści już Europy. Pogłębia swoje studia i umacnia się w wierze. Zyskuje sobie opinię dobrego historyka i stanowisko w ambasadzie chińskiej w Paryżu. Pracuje tam do roku 1953.

Święcenia kapłańskie. W noc Bożego Narodzenia 1965 roku otrzymuje święcenia kapłańskie. Ma wówczas 62 lata. Spełniły się jego dziecięce marzenia i coś więcej jeszcze: udowodnił, że można być katolickim księdzem i pozostać wierny swojej ojczyźnie oraz wiekowej kulturze swego narodu.

„Ewangelia nie każe mi zdradzać, nic z tego, czym jestem czy skąd pochodzę. Słowo Jezusa jest wieczne, ponad rasy, kultury i filozofie — „Nie przyszedłem znieść Prawo czy Proroków, lecz by je wypełnić” — powiedział Jezus. Rozumieli to pierwsi misjonarze, którzy głosili Chińczykom: „Przechodziniv do was nie po to, aby zniszczyć waszą cywilizację i potępić waszych mędrców, lecz by ich poznać i zrozumieć, przekazując słowo Człowieka, który mówił jak dotąd żaden inny człowiek”. W ten sposób przygotowawali drogę Panu, jak niegdyś św. Paweł wśród Greków...”

Kościół w Chinach istnieje. Nawet po dojściu do władzy Mao są w Chinach chrześcijanie. Ilu?

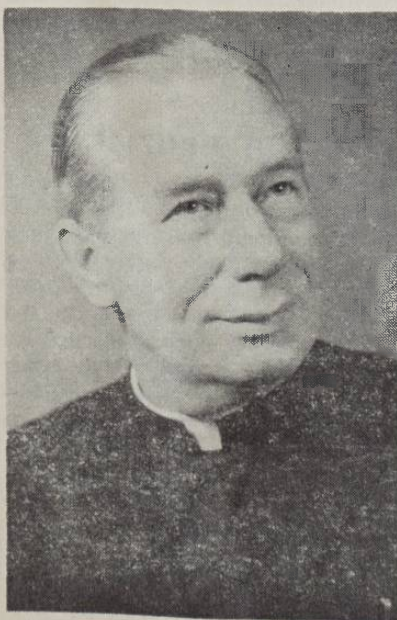
Kto o nich pamięta? Gdy w roku 1949 została ogłoszona Republika Ludowa

było ich przeszło 3 miliony. Ilu jest ich dzisiaj? Tego nikt nie może powiedzieć z pewnością. Jedno jest pewne: chrześcijaństwo w Chinach grozi zagładą. Od roku 1953 nie ma seminariów duchownych, nikt oficjalnie nie naucza wiary, nie wolno ochrzcić dziecka przed osiemnastym rokiem życia. Od najwcześniejszych lat rząd przejmuje opiekę nad dzieckiem, grozi to całkowitym wykośnieniem wiary. Turyści twierdzą, że w Pekinie czy Szanghaju otwarte są kościoły. Ks. Wei nie widzi w tym nic pocieszającego: „W Pekinie są obcokrajowcy. To nie wiele otworzyć dla nich obcą katedrę, aby tam mogli praktykować obcą religię. Wolalby raczej usłyszeć o zamknięciu katedry w Pekinie, a otwarciu małych kościółków na wiosekach, w głębi ryżowych pól”.

Dlatego najgorętszym pragnieniem jego życia jest, aby doszło do dialogu między Rzymem a Chinami. Kryje się jakaś wielkość w słuchaniu tego człowieka samotnego, wolnego i pełnego dobrej woli: „Kościół powinien wyciągnąć rękę ku Chinom. Bo nie Chiny potrzebują Watykanu, lecz Watykan potrzebuje Chin, jeśli chce być wierny misji Chrystusa, który powiedział: „Idźcie, nauczajcie **wszystkie narody**”.

Na szóstym piętrze, na jednym z poddaszów Paryża jest chyba jedynym człowiekiem na świecie niosącym ten niepokój w sercu, ale i nadzieję...

ODWOŁANY Z POSTERUNKU



W niedzielę, 1 grudnia zmarł nagle ks. Józef Lewicki, członek zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej. Człowiek, który rozumiał ducha naszych czasów i przygotowywał wiernych do przeżywania w nich ideałów Chrystusowych. Śmierć zastała go w Dourges, wyrwała go z przeredzających się szeregów duszpasterzy polskich we Francji.

Ks. Józef Tadeusz Lewicki pochodził z bogobojnej rodziny. Urodził się 25 lutego 1914 r. w Ganinie koło Gniezna. Wstąpił do gimnazjum Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej w Lublińcu. Był pilnym uczniem i serdecznym kolegą. Po złożeniu egzaminu maturalnego wstąpił do nowicjatu w Markowicach koło Inowrocławia. Pierwsze śluby zakonne złożył w roku 1936, w święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

Studia filozoficzno-teologiczne rozpoczęła w Krobi koło Gostynia i konty-

nuje w Obrze koło Poznania. Wojna przerywa naukę i prawie uniemożliwia osiągnięcie ideału: kapłaństwa. Młode-
mu studentowi udało się przedostać do Włoch, a stamtąd do Francji. Po wielu przejściach znalazł się w części kraju nieokupowanej przez Niemców. Tutaj, w seminarium OO. Oblatów, w Notre Dame de Lumières, koło Awinionu, kończy studia teologiczne. 22 grudnia 1942 roku otrzymuje święcenia kapłańskie.

Kapłaństwa nie uważał za zaszczyt. Było ono dla niego obowiązkiem i posługą. Dlatego od razu rzuca się w wir pracy duszpastersko-społecznej. Jest wśród Polaków w Le Martinet, w departamencie Gard. Przedostaje się do części okupowanej, pracuje w Sallaumines, w departamencie Pas-de-Calais. Wciąż wrażliwy na sprawy polskie, kiedy nadszyła się okazja wstępuje w szeregi Wojska Polskiego we Francji. Jest kapłanem w obozie niedaleko Lille. Bliskość uniwersytetu kusi. Podejmuje studia dziennikarskie i nauk społeczno-politycznych. Zdobywa stopień magistra. Kiedy następuje likwidacja polskiego obozu wojskowego, razem z żołnierzami przenosi się do Anglii.

Do Francji wraca w roku 1950 i osiada w Dourges (Pas-de-Calais), gdzie wypełnia posługę duszpasterską wraz z ks. Bernardem Jarkiem, OMI. W roku 1951 przyjmuje dodatkową pracę: jest dyrektorem KSMP. Nigdy nie odmawia pracy. W lipcu 1961 roku przyjmuje obowiązki dziekana Polskiego Duszpasterstwa w Północnej Francji. Jego prostota i braterskie podejście zyskiwały mu przyjaciół. Zawsze spieszy z dobrą radą i przyjacielskim słowem, wrażliwy na ludzką biedę, tę moralną przede wszystkim, pomaga, ratuje, dodaje odwagi. Nie potępia, nie sądzi. Wyciąga pomocną rękę...

W roku 1970 przełożeni zakonnicy powierzają mu stanowisko prowincjała

Polskiej Prowincji Oblatów Maryi Niepokalanej we Francji i Belgii. Ks. Józef Lewicki pozostaje tak samo serdeczny. Stanowisko, władzę uważa za służbę dla drugich. Jest współbratem, nie przełożonym.

Obowiązki prowincjała spełnia do roku 1973. Współbracia wybierają go na następne trzecie. Tym razem odmówił. Chyba po raz pierwszy. Nie może już. Zawał serca zwałił go z nóg. Jest chory. A jednak nie poddaje się. Po kilkutygodniowym pobycie w szpitalu, powoli włącza się znowu w pracę duszpasterską. Czuje się silniejszy. Kiedy Ksiądz Rektor proponuje mu referat młodych małżeństw, nie odmawia. Zna dobrze młodych ludzi, wycho-
wywał ich przez długie lata w polskich organizacjach. Przygotowuje więc konferencje, chce rozpocząć pracę już w przyszłym roku. Ma już plan, przyjmuje pracę... I nagle w ten zapał kapłana i społecznika wdziera się śmierć, przecina pasmo pracowitego życia.

Ks. Józef Lewicki był również duszpasterzem w ośrodku wczasowym w Stella Plage. Odprawiał niedzielne msze święte, głosił Słowo Boże i żył nim w atmosferze rozrywki, odpoczynku. Jako dziekan przyczynił się w dużej mierze do uzyskania pozwolenia na budowę polskiego kościoła w Lens.

W pierwszą niedzielę Adwentu, 1 grudnia 1974, usłyszał słowa Pana Zmarłychwstałego: „Sługo dobry i wierny! Byłeś wierny... wejdź do radości Pana” (Mt 25, 22).

Roman Duda OMI
współbrat.

O czym tu dumać...

BÓG SIĘ RODZI...

Rok rocznie oczekujemy z utęsknieniem nocy Bożego Narodzenia, która

przynosi nam tyle wzruszających momentów i tyle radości. Czekamy tej nocy z głęboką nadzieją, że mały Jezus zrodzony w ubogiej stajence, zmieni nasze życie na lepsze, żeśle nam upragniony spokój i dopomoże do realizowania naszych marzeń i projektów. Niestety! Boże Narodzenie mija, kołеды cichną, świeczki na choince gasną, a my pozostajemy znowu jak dawniej na tym samym miejscu, z gorącą w sercu i z powiększonym pesymizmem w duszy.

Każdy człowiek jest w pewnym stopniu romantykiem, a my Polacy więcej, niż ktokolwiek. Ale tego stanu rzeczy nikt i nic zmienić nie potrafi. Życie nasze potrzebuje nie tylko faktów gorzkich, widocznych, namacalnych, ale i tej słonecznej jasności co płynie z tej ubogiej stajenki, tego ducha rodzącego się wśród nocnej ciszy, który niewidzialnym ramieniem tuli w swoich ramionach cały świat i szepcze mu do ucha słowa ukojenia.

Człowiek potrzebuje Boga, tak jak potrzebuje do życia chleba, powietrza i wody. Ale ten Bóg nie po to stworzył świat i ludzi, nie po to zesał na ziemię Syna swego, by śmiercią swoją odkupił całą ludzkość od wiecznego potępienia, by służył ludziom i być obecnym na każde ich zawołanie, albowiem ludzie mu służyli, byli wierni Jego prawom i przykazaniom.

I dlatego nasze nadzieje pryskają jak bańki mydlane, choć mały Jezus rodzi się co rok, a następnie rośnie i umiera na krzyżu. I tak trwa ta mistyczna droga Boskiego żywota od dwu tysięcy lat. Od dwóch tysięcy lat człowiek przeżywa te same wznieście i nadzieję nabrałszy chwile i tę cudowną noc boskiego narodzenia.

Czy od tego czasu coś się zmieniło w naszym życiu? Czy zaszła jakaś zmiana na lepsze?...

Czy spełniły się nasze marzenia i projekty? Czy odnaleźliśmy ten tajemniczy kwiat paproci, z ukrzytym pod nim skarbcem, jak głosi legenda?! Nic się nie stało. Życie nasze płynie jak dawniej, tym samym wyżłobionym korytem... Jesteśmy tylko starsi o rok i zmarszczki cienką siateczką osiadły nam głębiej na twarzy.

A jednak trwamy, wierzymy w nadejście tej świętej nocy Narodzenia, która przyniesie nam tyle nowych przeżyć i błogostawionych nadziei. Czekamy na ten wieczór wigilijny...

Julian Majcherczyk.

GŁOS KATOLICKI

LA VOIX CATHOLIQUE

263-bis, rue Saint-Honoré, 75001 Paris.

Telefon: 073-37-69

Konto pocztowe PARIS 12 777 08

Dyrektor: Ks. E. SZYMECZKO O.M.I.

Redaktor: Ks. L. BRZEZINA O.M.I.

Administrator: Ks. J. NIERUCHALSKI O.M.I.

N° d'autorisation: 36.888

Imprimerie des Editions de Marie Immaculée — 29, Avenue du Général-Leclerc
77260 - LA FERTE-SOUS-JOUARRE.

LA VOIX CATHOLIQUE

HEBDOMADAIRE DES EMIGRES POLONAIS

Cisi tej ziemi

Ponad 30 lat temu byłem proboszczem podmiejskiej parafii. Co dwa tygodnie zbierały się dziewczynki (od 12-14 lat) w salce parafialnej. Po różnych innych zajęciach dzieci, przychodziłem do nich z pogadanką religijną. Przez pewien czas zabierałem ze sobą Summę św. Tomasza.

Bardzo żywo stoi mi i dziś jeszcze przed oczyma, jakieśmy w okresie Bożego Narodzenia rozstrząsały zagadnienie, czy wypadało objawić Narodzenie Chrystusa przez aniołów i gwiazdę (III, 36, 5).

Z jakim zapałem podejmowały dzieci stawiane w danym artykule zarzuty i przyłączały się do nich: że aniołowie jako duchy nie powinni byli ogłaszać Wcielenia Syna Bożego; że nie wypadało pastuszkom objawić Narodzenia Chrystusa przez aniołów, jeżeli Symeonowi i Annie — tak świętym osobom — nie przysłano aniołów; że gwiazdy narażają ludzi na błąd astrologii; że są bardzo niepewnym znakiem.

Fale dysputy wzbierały coraz bardziej, iż wreszcie musiałem rzucić między spierające się dziewczęta Tomaszowy dowód (sed contra), ogólne odparcie zarzutów przez sentencję Starego Testamentu (Dent. 32): „Boże dzieła są doskonałe”. A objawienia Wcielenia Syna Bożego są dziełami Bożymi. Więc też środki objawienia Narodzenia Bożego są stosownie dobrane.

Jak po burzy na morzu nastawa cisza. Słowo Pisma św. i powadze św. Tomasza nikt nie odważył się sprzeciwić. Wyjaśnienia wymienionych poszczególnych zarzutów już teraz podaję w przeciwieństwie do porządku przyjętego w Summie.

W roli obrońcy zauważa św. Tomasz do pierwszego zarzutu, że wypadało, by aniołowie ogłaszali Wcielenie Syna Bożego. Bo Ciało Jego było widoczne. Ale ukryte Bóstwo przez wizję duchów miało być objawione.

Co do niebezpieczeństwa astrologii trzeba uwzględnić decydującą różnicę między astrologią a Ewangelią. Astro-

logia mówi o wpływie gwiazd na losy ludzkie. Ewangelia zaś wręcz przeciwnie przypisuje Bożej Dziecinie wpływ na gwiazdę. Wreszcie pewność poznania gwiazdy polegała na znanym powszechnie proroctwie Balaama.

Po tej adwokackiej czynności wprowadziłem św. Tomasza jako sędziego rozstrzygającego zagadnienie nasze (w tzw. corpus articuli). W bardzo trzech wy sposób wskazuje on na istotę sylogizmu. Jak przy wnioskowaniu dochodzimy do nowego sądu za pomocą dokładnie znanego już pojęcia, tak też objawienie przez znaki musi się odbywać przez dokładnie znane znaki.

Pogańscy magowie zajmowali się naukami przyrodniczymi i astronomią. Obserwowali i znali bieg gwiazd. Dlatego przemówił Bóg do nich przez nowe zjawisko na niebie gwiazdzistym. Żydzi zaś zajmowali się Pismem św. Starego Testamentu, gdzie ludzie przyjmują objawienia Boże zwykle przez aniołów, jak czytamy w Dziejach Ap. (VII, 53): „Otrzymaliście Zakon z rąk anielskich”. Tak też anioł zwiastował pasterzom na żydowskiej niwie narodzenie Mesjasza. Dodałem moim małym słuchaczom, jak pewien uczony w swoim dziele o wierze katolickiej, zamierzając pisać naukę o aniołach, przestudiował pod tym względem jeszcze raz cały Stary Testament, bo uważał go za najbogatsze źródło naszych wiadomości o aniołach.

Potem poprosiłem dzieci o specjalne skupienie i natężoną uwagę na następujące myśli św. Tomasza: Już w Starym Testamencie sprawiedliwi i święci ludzie przyjmowali pouczenie Boże przez natchnienie Ducha Św. Symeon od Ducha Św. otrzymał objawienie, że nie uirzy śmierci, dopóki nie będzie oglądał Pomazańca Pańskiego (Łk II, 26). Święci nie potrzebowali aniołów. Im wystarczyło natchnienie Ducha Św. wskutek doskonałości ich życia wewnętrznego.

Moje słuchaczki zachowały przy tych słowach świętą ciszę. Wyczęwały że chodzi tu o bardzo istotną postawę duszy chrześcijańskiej, o coś bardzo ważnego i wielkiego, a mimo to nie tak

odległego. Opowiadałem im, że już Psalmi wspominają o takich wybranych, którzy żyli w stałej rozmowie z Duchem Św. Psalmista nazwa ich „cichymi ziemi”.

Opowiadałem swoim uczennicom, że i dla św. Tomasza nastąpiła taka chwila, w której mu filozofia i teologia już nie były potrzebne. Jego sekretarz prosił, by jeszcze wziął pióro do ręki, by jeszcze dalej dyktował Summę Teologiczną. Na to mu Tomasz: „Nie mogę bracie Reginaldzie, nie mogę. To wszystko, co napisałem, wydaje mi się słomą, wobec tego, co mi Bóg w tych dniach ukazał”. Św. Tomasz stał się „cichym ziemi” jak Symeon i Anna, jak św. Elżbieta i św. Jan Chrzciciel, jak św. Józef i Najśw. Maryja Panna i jak Zbawiciel nasz, sam Jezus.

Pod koniec naszej pogadanki złożyłem dzieciom swoje życzenia święteczne, żeby Duch Św. je wewnętrznie pouczył o cudzie Betlejemskim. Potem poprowadziłem je do kościoła. W drodze dzieci mówiły to i owo. Małgosia najinteligentniejsza ze wszystkich powiedziała: „Niech nam ksiądz proboszcz przyniesie kiedyś książkę uczonego, który cały Stary Testament na temat aniołów przeczytał”. Tej ideałem byli filozofowie, teologowie, Mędrcy Świata. Przeważająca większość mej czeladki składała się z typów pasterzy. Były trochę pobożne, trochę roztrzepane. Żaliły się może na swoich Aniołów Stróżów, że nie postarali się o jakiegoś baranka albo jakiś inny dar dla Dzieciątka.

Przed stajenką zaśpiewaliśmy kolegdę. Na zakonczenie przystąpiliśmy jeszcze do głównego ołtarza, do Najśw. Sakramentu. Nastąpiła chwila cichej adoracji. Odezwałem się jeszcze raz do dzieci, żeby prosiły jak Matka nasza. Kościół Święty: „Boże daj nam kochać to, co nakazujesz”.

Teraz chyba widziałem, że między 40 czy 50 dziewczynkami były dwie „ciche ziemi”. W czasie głośniejszej dysputy one milczały. Gdy cytowałem słowa Pisma św.: „Dzieła Boże są doskonałe” — zajaśniały ich twarze. Gdy wspomniałem o natchnieniu Ducha Św., były one samymi skupieniami. Przed szopką Betlejemską nie śpiewały, ale patrząc na nie, miałem wrażenie, jakoby jasność Pana opronieniała je i Duch Św. mówił do nich: „Zwiastuję wam wielką radość. Dziś narodził się wam Zbawiciel, który jest Chrystusem Panem”. Przed Najśw. Sakramentem przeżywały jakies swoje przemienienie.

Bp Henryk Grzondziel.

